



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

PAMIĘTAJCIE O PTASZKACH.

Komitet pań Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad zwierzętami nadesłał nam odezwę swoją z prośbą umieszczenia jej w szpaltach Wieczorów. Polecamy ją więc uwadze naszych czytelników prosząc, aby ci których ta sprawa zainteresuje, przysłali nam swoje adresy.

„Pola pokryte śniegiem, nie prędko zazieleńią się i wydadzą ziarno, a w ziemi, ściętej mrozem, niepodobna teraz szukać owadów. Biedne ptaszki giną z głodu i zimna. Gromadzą się one dokoła siedzib ludzkich, szukając ratunku u człowieka, obojętnego, niestety, na ich niedolę. A jednak, tak łatwo byłoby uratować im życie, kosztem bardzo małego trudu i dobrej woli. Tyle okruszyn codziennie spada ze stołu i wyrzucane bywa codziennie w śmieci! tyle chleba pod postacią tych okruszyn idzie na marne, że wyżyłyby się nim setki tysięcy ptaszków!

Są wprawdzie tacy, którzy obmawiają ptaszki, zwłaszcza wróble, że zawiele zjadają zboża, że są zbyt łakome na wiśnie i inne owoce, ale drobna to strata wobec rzeczywistej przysługi, jaką nam wyświadczają te wdzięczne i pożyteczne stworzenia. Gdyby nie pomoc ptaszków, pola nasze uprawne i ogrody zniszczoneby zostały przez owady, które, nie tępiące przez armię skrzydlatą, mnożyłyby się bez przeszkody. Teraz poczwarki tych wrogów naszych śpią w ziemi, czekając, aż ciepłe promienie wiosennego słońca, zbudzą ich do życia. Wtedy jedne powychodzą ziemi, inne powylęgają się z jajek, złożonych na korze drzew w jesieni, rzucając się na młodziutkie listki, na zawiązki kwiatowe, na owoce, lub podgryzać będą korzonki roślin. Wtedy skrzydłata armia wy-



Domcek na zimę dla ptaszków.

DŁUG OJCOWSKI

POWIEŚĆ

przez E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

stąpi z niemi do walki, owady bowiem główne stanowią jej pożywienie. Wróbel np. kilka razy przez lato wylęga młode, potrzebując zawsze do ich wyżywienia krocie owadów. Jaskółka do wyżywienia się potrzebuje dziennie 600 much, komarów i t. p.

Pomóżcie więc ptaszkom przetrwać zimowe miesiące, tak ciężkie dla nich, choćby przez wzgląd także, iż nie odleciały za innemi do cieplejszych krajów, ale pozostały z nami i dzielą naszą dolę. Jako sprzymierzeńcy i współpracownicy człowieka, mają prawo do naszego współczucia i pomocy. Czują to one i krążą dokoła naszych okien, wyglądając ratunku. Starsi zajęci są czem innem; do młodzieży więc, do dzieci zwraca się Towarzystwo Opieki nad zwierzętami z prośbą o miłosierdzie nad rzeszą skrzydlatą. Nie odmawiajcie im pożywienia, które wam tak łatwo przychodzi, sypcie okruszyny chleba za okno, a ptaszki wnet zrozumieją waszą intencję i gromadnie zlatywać się będą, ciesząc was miłym, radosnym świegotem”.

Dla wiadomości tych, którzyby gorliwie pomagać chcieli Towarzystwu Opieki nad zwierzętami w jego dobrych zamiarach, pomieszczamy instrukcję, *Jak urządzać żerowiska dla ptaków?* Dla sikor, zięb, kowalików, muchołówek, szpaków i innych zakłada się wśród gałęzi drzewa na dwa metry od ziemi deseczkę obitą listewkami, na którą się sypie: siemię kopne, nasienie ogórków, orzechy, kawałki nie solonej słoniny, łożu. Dla sikor można zawieszać kości z resztkami mięsa, dojrzałe słoneczniki, połowki orzechów i t. p. Takie żerowiska można zakładać również na gziemsach okien, jeżeli w pobliżu są wysokie drzewa.

Na brzegu lasu założone takie żerowisko zwabia liczne gromady ptactwa. Trzeba też pamiętać, że ptaszki pić potrzebują i nieraz w czasie suszy lub surowej zimy cierpią z pragnienia. Łatwo temu zapobiedz, stawiając na żerowisku naczynie z wodą — w zimie ogrzaną.

Piękny i naśladowania godny przykład opieki nad biednymi ptaszkami, wystawionymi na głód i mróz w czasie ciężkiej, lub długo przeciągającej się zimy, daje nam Bawarya, gdzie przy każdym prawie, choćby najskromniejszym zabudowaniu gospodarskiem, widać na uboczu zatknięte żerdzie, do których w górnej ich części przymocowane są maleńkie, zbite z deseczek, a mchem lub słomą otoczone, domki, jak przedstawia rycina nasza. Są to jakby otwarte gospody, gdzie biedni powietrzni wędrowcy znajdują zawsze zaciszny od wiatru kąt i nieco pożywienia. Często na jednej tyczce, jeśli jest wyższą, chłopcy, których staraniem i opieką domki te istnieją, zawieszają ich kilka, jeden poniżej drugiego, i podobno nie zdarza się nigdy, aby miłosierne te przytułki stały niezajęte.

Szczególną przysługę oddają one mianowicie ptactwu wędrownemu, któremu często po powrocie do dawnej ojczyzny jeszcze srogość naszego klimatu bardzo dokuczy.

Janek nie byłby nigdy zmartwił siostry wyjaśnieniem jej całej prawdy i przykrości, jakie miał do znoszenia z powodu swoich uczniów. Odrzekł więc, że w domu pani Ogięciwiczowej było mu bardzo dobrze, że chłopcy, których uczy, mniej wprawdzie korzystają niżby mogli, ale z czasem może się poprawią. Janek miał naturę tak prawą, że nawet to niewinne kłamstwo sprawiało mu przykrość, ale czy mógłby zmartwić swoją kochaną siostrzyczkę i zatruci jej spokój raz na zawsze, budząc w niej troskę o siebie? Unikał więc, o ile tylko mógł, rozmowy o swoim położeniu. Zaczęli też rozmawiać o przedmiocie najmilszym dla siebie: o swojej ślicznej, ukochanej Ostrowie i latach, w niej spędzonych.

— Wiesz Janku? jabyń za nic nie wyżyła w dużem mieście, nawet takim jak Warszawa; i zdaje mi się, że byłym się czuła bardzo nieszczęśliwą, gdyby mi przyszło gdzieindziej mieszkać, niż w Ostrowie. Ach! jak żałuję, że nie mogę tam zawieźć Elci. Ona taka dobra dla mnie; mam w niej to, czego mi dokąd brakowało: prawdziwą, kochającą przyjaciółkę — mówiła Stenia.

Zagadali się, rozweselili, Janek, który wychodząc z domu, czuł cały ciężar smutku na sercu, teraz zapomniawszy o swoich kłopotach, silne uczucie ma w sobie wielką moc uspokajania, a on tak kochał ten rodzinny, drogi zakątek. Ani się spostrzegli, jak zbiegła im godzina jedna i druga na przechadzce i rozmowie. Kiedy przechodzili około kiosku z wodą sodową, Janek przystanął.

— Poczekaj — powiedział do Steni — kupię ci paczkę pierników.

— Nie, nie! — zawołała z żywością Stenia.

— Dlaczego? — zapytał, jakby zawiedziony.

— Wiesz przecie, Janku, że teraz powiuniśmy we wszystkim się oszczędzać — powiedziała poważnie Stenia.

— Wiem, Steńko, ale to taka drobnostka, kilkanaście kopiejek.

Dziewczynka podniosła z zamyśleniem niebieskie oczy.

— I na tę drobnostkę ty zapracować musisz, a ja nie nie robię. Nie, Janku, doprawdy, zrobiłbyś mi tem przykrość.

Janek się śmiał.

— No dobrze — zawołał wesoło — paczki całej już nie kupię, ale choć jeden muszę ci kupić, żeby tam nie wiedzieć co.

Poskoczył do kiosku i wrócił z dużym piernikiem, posypanym kminkiem. Stenia odłamała kawałek dla siebie i drugi dla Janka. Przechodzili uboczną uliczką. Wtem pod drzewem zobaczyli siedzące może dwuletnie dziecko, które, trąc oczy zaciśniętą piąstką, rzewnie płakało.

— Czego ono płacze, to maleństwo? — wyrzekła Stenia, zwracając się do Janka.

— Może je matka odeszła — powiedział, oglądając się: zdaleka widać było kobiety, zajęte pracą nad rabatami.

Stenia pochyliła nad dzieckiem.

— Czyje ty jesteś? — zapytała.

— A mamine — odpowiedziało wśród łez.

— Gdzież twoja mama?

— A tam robi, i wskazało rączką na rabaty.

— Czego ty płaczesz?

— Bo mi się bardzo jeść chce.

— Biedactwo! Dać mu, Janku, prawda, dać? — wskazała na piernik.

— Dać! — uśmiechnął się Janek.

Piernik znalazł się w rączce dziecka. Roześmiało się

z radości i zaczęło gryźć, pokazując drobne ząbki. Stenia poszukała w kieszonce sułni.

— Masz tutaj dwa grosze — powiedziała, kładąc dziecku pieniądź do ręki — powiedz mamie, niech ci kupi bułeczkę. Powiesz?

— Powie — odrzekło, kiwając głową.

— A nie zgubisz pieniędzy?

— Ne, ne, ne! — odrzekło swoim dziecięcym językiem.

— Ach! jaka ta moja siostrzyczka oszczędna! nawet w małych rzeczach, nawet w drobnostkach! — zawołał, śmiejąc się Janek.

— Oh tak, Janku, z pewnością — odpowiedziała ze ślicznym runieńcem Stenia. Ale widzisz, dziecko głodne to zupełnie co innego... to byłoby niegodziwie minąć je obojętnie.

— A minąć człowieka nieszczęśliwego? — zapytał, drażniąc się umyślnie, Janek.

— Tak samo byłoby niegodziwie! Ale Janku, ty sobie naprawdę żartujesz ze mnie.

— Przepraszam, Steńko, już nie będę dopóki życia.

— Ale czy my się nie spóźnimy z powrotem? — spytała niespokojnie Stenia.

— Chciałem powiedzieć: to wsiądźmy w tramwaj, ale się wstrzymałem.

— Przejdziemy i tak, tylko przyspieszmy nieco kroku. Ale patrz, Janku! to one! nasza pensja wraca z Łazienek.

Elcia dojrzała ich także, pędziła naprzód, wołając:

— Stójcie! czego wam tak pilno? Wróćcie z nami, Steńku, prawda? Pan Jan nie będzie potrzebował cię odprowadzać.

Janek pożegnał siostrę, uklonił się paniom i oddalił w swoją stronę. W miarę, jak zbliżał się ku domowi, ciężkie myśli opadały go znowu i chmurą powlekały mu czoło.

— Co tam porabia ten chłopak krnąbrny, zuchwały? Powiedziałem jego matce, aby go uwolniła z aresztu o godzinie szóstej. Chciałem, aby się mógł przejść trochę, żeby całodziennie zamknięcie w domu nie zaszkodziło jego zdrowiu. Ciekawa rzecz, jak też korzysta ze swojej wolności?

Janek, aby sobie skrócić drogę do domu, przeszedł przez bramę jednej z kamienic i od strony oficyn skierował się do swego mieszkania. Tutaj nad parkanem, łączącym drwalki z oficyną, ujrzał niespodzianie wychylające się dwie głowy, w których, ponieważ wzrok miał niezmiernie bystry, rozpoznał Mania i jego doradcę, Kondzia.

— Znowu ten chłopiec. Ach! — pomyślał Janek, zaskakując usta. — Co oni tam mogą robić? — pytał siebie i przyśtała, obserwując pilnie parkan, za którym się kryli. Po jakimś czasie wychyliła się znów nad parkan z wielką ostrożnością głowa Kondzia: widocznie na coś czatowali, zniknęła szybko, a natomiast wyjrzał nad parkan Manio i równocześnie jednak w powietrzu przeleciał kamień: Janek wydał lekki okrzyk, gdyż uczuł się kamieniem ugodzony w czoło, nie tracąc przytomności pobiegł ku parkanowi, ze zwinnością mieszkanka wsi, przywykłego do wdrapywania się po drzewach, wskoczył na parkan i zobaczył obydwóch chłopców, uciekających, co sił starczy, ku domowi.

— Widziałem cię, Maniu i wiem, że to twoja sprawka — krzyknął głośno za uciekającym. Ale równocześnie krew zalała mu twarz: czoło miał zupełnie przecięte. Przyłożył chustkę do czoła i pospieszył do swego mieszkania.

— Został tam Edmunda Garlikowskiego, który, nie znalazłszy go, postanowił na niego zaczekać.

— Co tobie? — wykrzyknął tamten z przerażeniem, widząc, że chustka, którą Janek odjął od czoła, była cała skrwawiona.

— Nic, nic — odrzekł Janek — przypadek, nic więcej. Błady był z gniewu i wzruszenia. — Chłopaki rzuciły na siebie kamieniami, i zostałem ugodzony.

— Eh! a czy to czasem twój uczeń nie znajdował się pośród tamtych chłopaków. Co? powiedz prawdę? Bo czego ten łobuz uciekał przez podwórze, jak oparzony, widziałem oknem.

— Daj pokój temu mój drogi, proszę cię — wyrzekł Janek. — Dobrze, żeś przyszedł, mam do ciebie interes i byłbym posłał prosić cię do siebie, bo miałem zająć do ciebie dziś lub jutro. Tymczasem, jeżeliś łaskaw, nalej wody z karafki na miedniecę, muszę obmyć czoło.

— A łotr! szubienicznik! — wołał Garlikowski — jakże ci strasznie przeciął skórę; gdyby cał niżej, byłby ci wybił, jak nie, oko.

Równocześnie stróż, Antoni, który, niedostrzeżony przez Mania i dobrego jego doradcę, Kondzia, śledził na dziedzińcu obydwóch chłopców i widział całe zdarzenie, nie był tylko pewny, który z nich dwóch rzucił kamieniem na Janka, wpadł pędem do swej izdebki i zawołał na żonę:

— Magduś! dawaj mi coprędzej kapotę od święta: w te pędy lecę do starszego pana! To nie może być, żeby się dłużej takie bezceństwa działy. Niech starszy pan przychodzi i ukróci to wszystko. Zgroza, jak mi Bóg miły, żeby pańskie dzieci wychodziły na zbójów. Wiesz? przecięli paniczowi głowę kamieniem.

Antoni ubierał się z pośpiechem, poczem wybiegł ze swej izdebki i popędził klusem w stronę Pragi, gdzie pan Hipolit Cięciwicz posiadał dwie ogromne kamienice.

Edmund Garlikowski przesiedział u Janka do późnego wieczoru. Na odchodnym rzekł do niego, ściskając mu rękę:

— Dobrze, nie chcesz nic powiedzieć, nie mów sobie. Choć zdaje mi się, że odgadłem powód twego milczenia: za dumny jesteś aby się zalić. Jaby tego nie potrafił, ale poznałem to nie od dziś, że ty sto razy więcej wart jesteś niż ja i mnie podobni. Nie przeczę temu, bo to święta prawda. I powiem ci szczerze, że mało się nie uduszę z radości, iż chcesz zamieszkać razem ze mną, ja skorzystam tylko na tem. Co do zapłaty, naturalnie, że będziesz płacił do wspólki, ty niechś darmo nie przyjął, a ja i moi współkoledzy jesteśmy wszyscy biedni jak Hioby. Co do lekcji, nie obawiaj się, będziesz je miał, w tem moja głowa. O lekcye muzyki łatwiej, bo żaden z nas nie gra oprócz Malewicza, ale to rzępoła. A ta lekcya u Mieczysławskich zła?

— Owszem, chłopiec bardzo zdolny.

— Dobranoc.

— Dobranoc!

Janek sam pozostał z rojem czarnych, gnębiących myśli, od których aż go głowa bolała. Nie żał mu było miejsca ani utraconych lekcji, bo pozostać tu nie myślał dłużej, w tej chwili korzystać lub straty materialne nie były mu w głowie, ale serce go bolało środze o utraconą swoją wiarę w dobre strony natury ludzkiej. On tak pragnął gorąco przekonać się, że w chłopcu tym tkwią jakiekolwiek lepsze pierwiastki, które dadzą się obudzić i powołać do życia, a tymczasem doznał tak okropnego rozczarowania. On nie miał nawet żalu do tego niemądrego dzieciaka, objawiającego złość swoją w taki dziki, brutalny sposób, bolał tylko nad tem, że natura jego była tak zła, bolał i czuł nad nim wzgardliwą litość, ale zostać z nim dłużej, znosić go w swojej obecności, nigdy!

Janek nie zszedł tego wieczoru na herbatę, prosił również, aby mu śniadanie pozwolono wypić u siebie nazajutrz, pomimo, że to była niedziela; nie mógł się również udać do kościoła, mając czoło rozcięte. W jakąś godzinę później, u drzwi swoich ułyszał lekkie pukanie, a do pokoju weszła pani Cięciwiczowa. Twarz jej wyrażała przestrasz i smutek.

— Co to panu? — zawołała od progu — powiadają na podwórzu, że panu ktoś kamieniem przeciął czoło? Czy to prawda? Kto to zrobił? mój drogi panie, niech pan powie.

— Nikt, przypadek — powiedział Janek, zmuszając się do uśmiechu.

— Nikt? doprawdy nikt? — powtarzała, patrząc mu trwożliwie w oczy.

— Zresztą — mówił dalej Janek — niech pani popyta chłopców, którzy się mają zwyczaj bawić na podwórzu, a może się winowajca znajdzie.

— O! mój Boże, mój Boże! — zawołała pani Cięciwiczowa,

łamiąc ręce — więc to naprawdę mogłoby tak być, jak Antoni mówi?

Zanim Janek zdążył coś na to odrzec, wbiegła z pośpiechem służąca z zawiadomieniem, że pan starszy przyszedł i chce bezzwłocznie rozmówić się z panią. Pani Cięciewiczowa pośpieszyła z powrotem, a niebawem też sama służąca powróciła z wezwaniem do Janka, że pan i pani proszą. Janek udał się do mieszkania matki swoich uczniów. Dochodząc do salonu, słyszał podniesiony głos pana Hipolita Cięciewicza, rozlegający się donośnie:

— Na kogo Melcia synów wychowa? co? Na rozbójników, jak widzę, skoro już teraz rozbijają ludziom głowy kamieniami. Na łotrów, co? W naszym guieździe nie było



Polów żółwi olbrzymich.

łotrów, ni rozbójników. Wszyscyśmy pracowali ciężko, mozolnie, dorabialiśmy się grosza, ale w sposób uczciwy. A synowie Melci jakimi będą w przyszłości, co?

— Wejść, czy cofnąć się? — pytał się Janek w duchu, nieprzywykły do klótni. Stary pan grzmiał dalej:

— Ja na to nie pozwolę, dziesiątą skórę z nich zedre, a na łobuzów wyrość żadnemu z nich nie dam.

— Ależ mój stryju, przecież żaden z nich łotrem nie będzie — dał się słyszeć lękliwy głos pani Cięciewiczowej.

— Jakto nie będzie? — zahuczał stary pan. — Toć mnie już teraz wstyd za starszego, z ulicy ludzie mi donoszą o jego sprawkach.

— A jeżeli to nie on zrobił?

— To też ja przyszedłem tutaj dowiedzieć się na pewno, i jeżeli się przekonam, że to jego sprawka, to mu dam taką przestrożę, że ją przez całe życie popamięta i jeszcze drugich przestrzeże od czegoś podobnego.

— Mój drogi panie — zawołał, przystępując do Janka, który zdecydował się w końcu na wejście do salonu — mój drogi panie, pan mnie może najlepiej objaśnić, kto pana ugodził kamieniem. Czy to on, Manio?

Pan Hipolit Cięciewicz był czerwony od gniewu, siwe włosy jeżyły mu się na głowie, trząsł się cały; w kącie pokoju stał Manio, blady, wystraszony, nie śmiejący oddychać; Janek zatrzymał na nim wzrok przez chwilę; była to dla chłopca chwila śmiertelnej trwogi: teraz wypadnie na niego wyrok potępienia, a potem... dusza zamierała w nim od strachu.

— Nie, panie, to nie Manio — powiedział spokojnie Janek.

Pan Cięciewicz zdziwił się nadzwyczajnie.

— Jakto? nie Manio? czy pan jest pewny, że to nie on? — pytał.

— Tak, jestem pewny — odpowiedział Janek.

— Więc któż to był?

— Jakiś ulicznik, jeden z tych, co rzucają na siebie kamieniami.

Starszy pan odetchnął, wyjął kraciatą chustkę z kieszeni i otarł nią twarz i czoło.

— A mnie mówiono w podwórzu, że to on — powiedział.

— Mógł się ktoś omylić, nie widząc dobrze — zauważył Janek.

— No, szczęście twoje, żeś nie należał do tej pięknej sprawy — rzekł pan Cięciewicz, zwracając się do wnuka — bo inaczej nie wiem, co by z tobą było.

Usiadł na krześle, odpoczął kilka chwil i zabrał się do domu, zapowiadając bytność swoją za dni parę.

Pani Cięciewiczowa, która wyprowadziła stryja do przedpokoju, wróciła do saloniku, wielkie wzruszenie widoczne było na jej twarzy.

— Jaki pan dobry, ile ja wdzięczności winnam panu! — zawołała, wyciągając rękę do Janka. — Pamiętaj, zwróciła się do starszego swego syna, że jeżeli od dzisiejszego dnia jakkolwiek, choćby najmniejszy powód niezadowolenia dasz panu, ja pierwsza sama o tem powiem dziadkowi.

— Na szczęście tego już nie będzie potrzeba — wyrzekł spokojnie Janek — bo...

— Bo on się poprawi — wtrąciła skwapliwie pani Cięciewicz.

— Nie, tylko ja opuszczam od jutra dom pani i nie będę mógł dłużej dawać synom pani lekcyi. Czekam właśnie na to, aby pani to powiedzieć.

— Co pan mówi, panie Ostrowiecki! — wykrzyknęła pani Cięciewiczowa. — To być nie może, żadną miarą. Pan nam nie uczyni tej krzywdy.

— Krzywdy? przeciwnie. Od chwili, jak się przekonałem, że pobyt mój w domu pani nie przyniesie pod żadnym względem korzyści pani synom, postanowiłem się usunąć bezzwłocznie.

Pani Cięciewiczowa była bliską płaczu.

— Nie, nie, nie! — wołała — pan się pozwoli uprosić, ubłagać. Ach! panie Ostrowiecki, zaklinam pana na wszystko, niech pan pozostanie. W panu dzieci moje mają taki wzór do naśladowania, jakiego nie znajduję już dla nich.

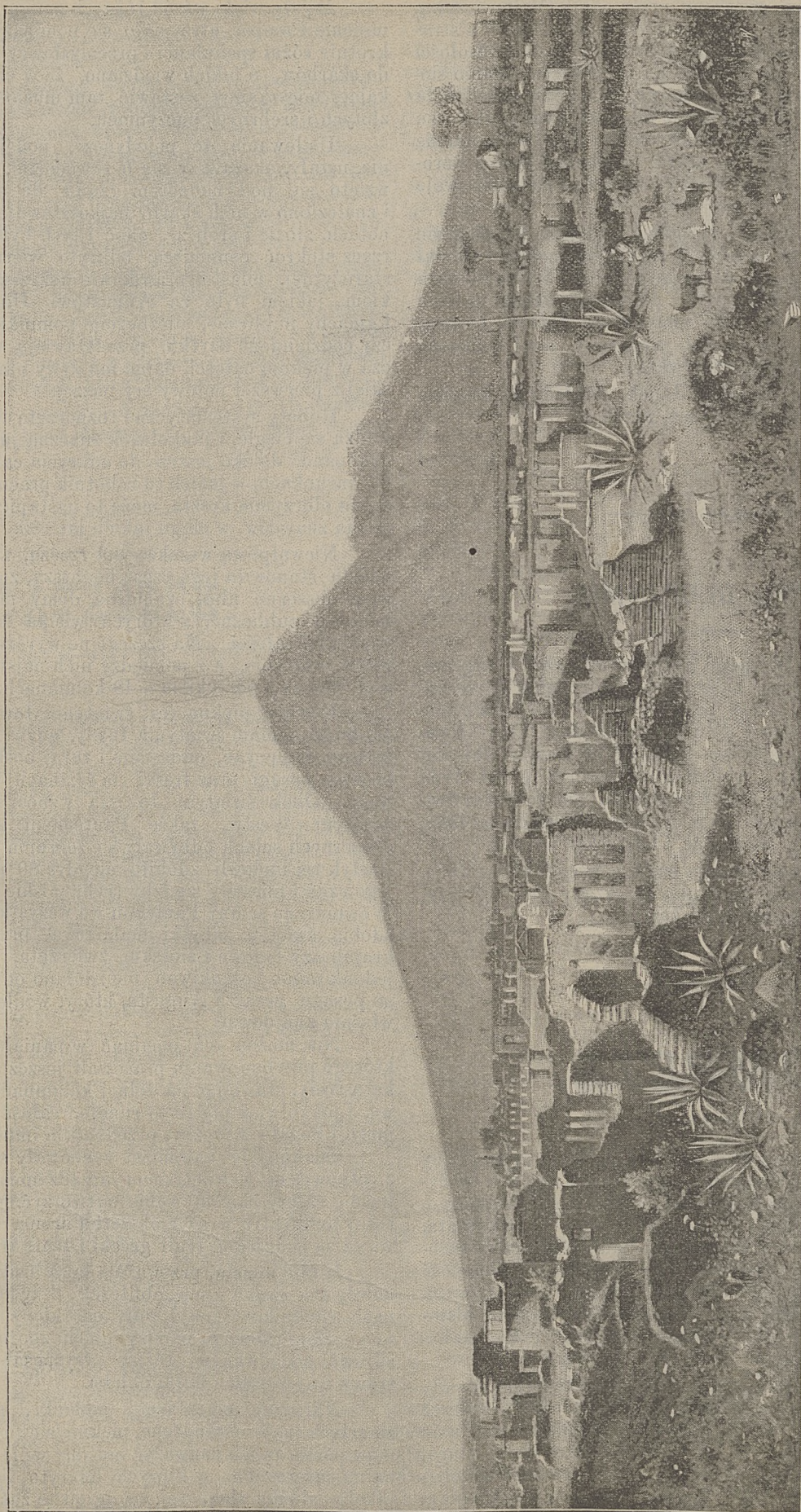
Janek uśmiechnął się smutnie.

— Dziękuję pani za dobrą opinię — powiedział.

— Ja wiem — mówiła dalej pani Cięciewiczowa — że pan dla nich wiele czasu poświęca, i zaraz z początku zamieszkania pana u nas postanowiłam wynagrodzić pana stosowniej. Drogi panie Ostrowiecki! Jeżeli się pan zgodzi pozostać u nas, zdecydowana jestem dodać panu dziesięć rubli miesięcznie.

Janek potrząsnął głową.

— Pani daruję, ale za żadne pieniądze nie uczyniłbym tego, co uważam za bezcelowe, a takim według mnie jest pozostawanie dłużej jako nauczyciel przy synach pani. Przykro mi odmówić pani, ale pozostać nie mogę, niech mi pani wierzy, że z wielu powodów, o których mówić nie chcę, jest to dla mnie niemożliwe.



Część Pompei odkryta w ostatnich czasach.

Wypowiedział to wszystko łagodnie, spokojnym tonem, ale stanowczo, poczem uklonił się i wyszedł z pokoju. Kiedy w kilka godzin później, proszony przez panią Cięciewiczową, zeszedł na obiad, matka jego uczniów miała minę tak straszną i zasmuconą, iż zwykły jej dobrotliwy, pełen wesołości uśmiech nie pojawił się ani razu na jej twarzy. Manio siedział przy stole dziwnie niespokojny, łyżkę lub widelec dla formy tylko trzymał w ręku, gdyż nic prawie nie jadł, oczu zaś nie spuszczał ze swego nauczyciela. Jak tylko mu się zdawało, że Janek patrzy na niego, uciekał ze swoim wzrokiem, lecz gdy Janek odwrócił oczy, on znów podnosił swoje i trzymał je wlepione w twarz jego.

Po południu Janek nie wychodził zupełnie, bo jakże się tu pokazać przy święcie na ulicy z rozciętym czołem. Wziął książkę i czytał zamknięty w swoim pokoju. Wtem do uszu jego doleciał dźwięk skrzypiec z podwórza. Były to liche skrzypieczki, kupione za parę złotych za Żelazną Bramą, ale znać było, że ten, kto na nich wygrywał, miał delikatne dotknięcie ręki i słuch muzyczny wielki.

— Aha! to on — pomyślał Janek, odkładając książkę. Roztworzył okno i, wychyliwszy się, zawołał:

— Chodź! Józiu.

(d. c. n.)

ŻÓŁWIE OLBRZYMIE.

Galapagosami czyli Wyspami Żółwiowymi nazywa się grupa wysp na Oceanie Wielkim, należąca do amerykańskiej rzeczypospolitej Ekwatoru. Żyją tam w wielkiej ilości olbrzymie żółwie, dochodzące niekiedy do 5-ciu pudów wagi, których połowem zajmuje się miejscowa ludność, co stanowi dla niej jedyne źródło zarobku, wulkaniczny bowiem grunt tych wysp nie sprzyja żadnej gałęzi przemysłu ani gospodarstwa domowego. Żółwie te oprócz pożywnego mięsa dostarczają szylkretu na rozmaite wykwintne i użyteczne wyroby.

Szylkret stanowi wierzchnią część pancerza żółwiowego, daje się pięknie wypolerować, a gdy rozgrzany jest w gorącej wodzie, łatwo mu nadać rozmaite kształty.

POMPEJA.

Gdy w fatalnej nocy 25 lipca 79 r. po Chr., niespokojny już od jakiegoś czasu Wezuwiusz, wybuchnął nagle z niebywałą dotąd i potem gwałtownością, zdawało się okolicznym mieszkańcom, że nadszedł dzień ostatecznego końca świata. Wśród okropnego huków podziemnego, nad drżącą powierzchnią ziemi, w dalekiej przestrzeni kraju zapanowała ciemność zupełna, przerywana jedynie blaskami płomieni, wydobywających się z wnętrza ziemi, a jak utrzymuje współczesny historyk rzymski Pliniusz, siła wybuchu była tak wielką, że kamienie i lawa dochodziły aż do Syrii i Egiptu.

Skoro wreszcie po trzech dobach rozszalałe żywioły uspokoiły się nieco i światło słoneczne zdołało się przedrzeć przez grube chmury dymu i popiołów, obraz zniszczenia, jakie przedstawiała cała okolica, ta najpiękniejsza część starożytnych Włoch, przeszedł w swej grozie nawet wszelkie obawy. Tylko bowiem domy i wioski, ale całe Herkulanum i ulubiona przez możnych Rzymian, wspaniała i bogata Pompeja, dwa miasta leżące u stóp wulkanu, zniknęły doszczętnie z powierzchni ziemi. Pokrył je popiół, lawa, kamienie i szczątki

ki najbliższej góry paskowej, która się obsunęła w skutek trzęsienia ziemi.

Mijały wieki wśród różnych zmian w kraju, lecz wspomnienie Pompei utrzymało się pomiędzy ludem, i niejedno krotnie różni spekulanci i przemysłowcy próbowali dobrać się do skarbów, o jakich wiedziano, że w chwili katastrofy uciekający mieszkańcy zostawili tam musieli w klejnotach, oraz złotych i srebrnych naczyniach.

Usiłowania te pojedyncze, podejmowane nieumiejętnie, ustały, okazawszy się bezowocnymi. Dopiero 1756 roku wzięto się pod nadzorem rządu do odkopywania zwalisk, i znaleziono w nich skarby najkosztowniejsze, lecz nie w klejnotach, złocie i srebrze, choć i tych było podostatkiem, ale rzecz stokroć cenniejszą: odkryto wierny obraz cywilizacji starożytnej, miasto prawdziwie wskrzeszone z popiołów, takim, jakim było za Augustów. Ulice i pałace, domy i gmachy publiczne, niezliczone pomniki, dzieła sztuki i rzeczy codziennego użytku, przedstawiają się dziś oczom badacza w pięknej całości, dając mu żywy obraz cywilizacji rzymskiej z pierwszej połowy ery naszej.

Roboty systematyczne rozpoczęte dopiero 1817 r., prowadzą się ciągle, i jakkolwiek znaczną już przestrzeń Pompei odkopano, daleko jeszcze do odkrycia całego obszaru miasta. W warunkach, w jakich tu robotnik pracuje, a także ze względu na olbrzymie koszty, może to nastąpić dopiero, wedle obliczenia znawców, w ciągu jakich lat 180.

Niewątpliwą wszakże jest rzeczą, iż odkryta już część miasta stanowiła jego część bogatszą, znajdujemy w niej bowiem obszerne ulice, zamożne domy prywatne i wspaniałe budowle publiczne, z których wielka liczba zachowała się w pięknej całości. Na szczególne wyróżnienie zasługują najpierw świątynie, a z pomiędzy nich najstarsza świątynia bogini Wenus z portykiem o 48 kolumnach.

Również piękną jest świątynia Jowisza, a wielkie zajęcie budzi ogólnie świątynia Lzydy, gdzie, według wiary starożytnych Egipcyan, oddawano i tutaj boską cześć zwierzętom, których posągi oraz freski na ścianach doskonale się zachowały. Obok świątyni Jowisza wznosi się wspaniały gmach świątyni Westy, także Panteonem zwany, w którego obszernych salach odbywały się zebrania wojskowe i religijne. Portyk tej budowli ozdobił niegdyś 80 posągów, a w dolnej jego części mieściły się izby trybunałskie i sklepy bankierskie. Wewnętrzne ściany Panteonu we wszystkich salach i celkach zdobią świetne zabytki malarstwa, przedstawiające bitwy, krajobrazy lądowe i morskie, zwierzęta, ptaki i t. p. Dotychczas jednak mimo poszukiwań nie zdołano odnaleźć szczerzo-złotego posągu cesarza Augusta, który, wedle podań, miał się właśnie znajdować.

Nie można też pominąć wspaniałego „Forum”, przy którego przebudowaniu pracowali jeszcze robotnicy w chwili katastrofy, stawiając na dolnej kolumnadzie kolumny piętrowe, i jakkolwiek piętro to runęło, całość przeważnie z marmuru i bogata w rzeźby, przedstawia imponujący widok.

Znakomicie natomiast zachowały się łaźnie publiczne z całkowitem wewnętrznym urządzeniem — a dokładne pojęcie o rzeczy możemy sobie wytworzyć, patrząc na kolosalne ruiny amfiteatru wraz z obszerną areną. Nie mniejszego rozniesienia są znaczenia: teatr grecki i teatr tragedji.

Z ulic miasta, przeważnie lawą brukowanych, zaznaczyć należy tak zwaną ulicę „obfitości”, przy której są po obu stronach chodników znajdowały się sklepy z towarami i żywnością. Znaleziono tu między innymi zboża o ziarnie zupełnie zdrowo zachowanym, różnie przysposabiane do jedzenia pszenicę i wypieczone bułki chleba.

Na ulicy cmentarnej pomniki, poświęcone pamięci zmarłych mało uszkodzone, pięknie się przedstawiają. Z domów parterowych zauważyć musimy willę Dyomedesa, stawną na suterrenach, w których odkryto liczne zwłoki ludzkie, jakoby służby domowej; w ogrodzie zaś ciało, prawdopodobnie właściciela domu, z kluczem w ręku, a obok niego niewolnika ze szkatułą z klejnotami i pieniędzmi. Widoczna katastrofa powaliła ich gotowych już do ucieczki.

Zamożnego też właściciela musiał mieć niegdyś budynek zwany „domem Fauna”, gdzie piękne malowidła zdobiły ściany, a z pomiędzy rzeźb licznych wyróżniono najcenniejsze przedzielo wykopalisk: postać tańczącego Fauna, od którego nadano nazwę całemu zabudowaniu.

Inne mieszkanie, nazwane *domem poety*, zachowało przepiękną mozaikę psa; zaś znowu w domu jakiegoś obywatela wraca uwagę śliczna fontanna, zdobna muszlami i mozaikami.

Któż wreszcie wyliczyć zdoła wszystko, co pogrzebane w łonie ziemi, jeżeli cenne było w swoim czasie, nabrało dziś nieporównanej wartości, gdy i najprostsze i najpospolitsze wyroby z odkopalisk pompejańskich, na wagę złota prawie są cenione. Bogate ich zbiory mieszczą się w muzeach.

Rycina nasza przedstawia część miasta, odkrytą w ciągu ostatnich dziesiątek lat, gdzie również znaleziono wiele cennych pomników sztuki w rzeźbie, malarstwie i mozaikach, gdzie napisy i sentenye nad drzwiami domów, a meble sprzęty w komnatach mówią wyraźnie, o jakich dążeniach i upodobaniach był człowiek, który zamieszkiwał te mury.

Tak więc śmiało powiedzieć można, że po 18 wiekach Pompeja, a z nią cały świat starożytny, odżyły przed oczami obecnych pokoleń.

M. D.

PIĄTASZEK.

(OPOWIADANIE MŁODEGO CHŁOPCA).

... Czy chcielibyście państwo posłuchać historii Piątaszka? Nie myślcie jednakże, że zamierzam was bawić, wznawiając dzieje owego przyswojonego towarzysza Robinsona Kruzoe, co się z wielką biedą ledwie dał oduczyć pożerania węgla bliźnich, a wynalazek obuwia uważał za całkiem nieporządny wymysł. Zapewniam was z góry, że w całym mojem powiadaniu ani wzmianki nie znajdziecie o wyspach Karaibskich, na których zresztą nigdy noga moja nie powstała, dotąd bowiem oprócz dziedzicznych Radelek na Kujawach i najbliższej sąsiadującego z nimi miasteczka Nieszawy, nie znam dokładniej innej miejscowości. Ale! bardzo przepraszam, otóż nam także, lubo nie tak szczegółowo, jak swoje ojczyste strony, miasto Warszawę, bo w niem skończyłem gimnazyalne nauki i raz na zawsze pogrzebałem Piątaszka, za co niech będzie dzięki naprzód Bogu, a potem kochanemu wujaszkiemu Burrowskiemu, który mi do tego dopomógł.

A wyda się to każdemu tem dziwniejszem, kiedy się dowie, że owym Piątaszkiem był nie kto inny, tylko ja sam we własnej osobie, obdarzony takim przydomkiem jeszcze w kolebce przez najpocziwszą z kobiet Agnieszkę Gomulinę, mamkę moją, nie mogącą pojąć w żaden sposób, że piątek, jakkolwiek przypomina nam Mękę Zbawiciela, jest sobie takim dniem w tygodniu, jak każdy inny. Otóż tedy o tej tak prostej prawdzie nikt nigdy nie zdołał przekonać tej dobrej, lecz przesądnej wieśniaczki, która na samo wspomnienie, że jej ukochany paniczek Tadeusz urodził się w piątek, płakała niemal, wysnuwając z tej przypadkowej okoliczności najsmutniejsze dla mnie wróżby na przyszłość. Taki Piątaszek, mawiała do każdego, co ją chciał słuchać, po to tylko przychodzi na świat, żeby mieć dolę od Bożej męki i do samej śmierci włożyć za sobą nieszczęście. Tak tedy zostałem z jej łaski Piątaszkiem. Ale same nawet owe pierwsze lata dzieciństwa, podczas których przebywała jeszcze przy mnie w domu rodzicielskim, mogły już być dla niej dostatecznym dowodem, że żadna fatalność nie czepiała się mojej istoty. Byłem zdrow, rumiany, a żwawy jak żywe srebro. Nietylko drodzy moi rodzice i o parę lat starsza odemnie siostra Helenka, ale wszyscy krewni i przyjaciele naszego domu pieścili mnie, dogadzając wszelkim życzeniom, tak, że życie moje od

samego początku, nie przedstawiało najmniejszej chmurki, w którejby się mogła zbierać owa dola od Bożej męki, wróżona przez Gomulinę. Nie wystarczało to jednak dla niej i kiedy, odchowawszy mnie, miała wrócić na zawsze do swojej chaty, prosiła mojej matki, ażeby jej od czasu do czasu pozwoliła mnie odwiedzać i dowiadywać się, co porabia Tadeusz Piątaszek.

Przydomek ten, jakkolwiek wyśmiany przez wszystkich światłych ludzi, przyczepił się jednak tak jakoś do mojej osobistości, że był ogólnie znanym. Pamiętam dobrze, bo miałem już naówczas skończonych lat siedm, że, wracając pewnego razu przed zachodem słońca z przechadzki z siostrą i boną naszą Luizą, spotkałem dawną moją mamkę; spostrzegłszy mnie zdaleka, poskoczyła czempredzej, ażeby mnie obśypać serdecznymi pieśczętami.

— Nie zatrzymujcie Tadeusza, Agnieszko! — prosiła Helenka — bo mama kazała nam dziś wcześniej wrócić do domu.

— A to dlaczego, panienko złociста?

— Dlatego, że dziś mamy mierzyć nowe sukienki, bo jutro u nas wielka uciecha. Ma przyjechać z zagranicy pan Zaniewski, chrzestny ojciec Tadeusza, co nam przywiezie dużo zabawek.

— Jezus! Marya! — krzyknęła Gomulina — toć to dziś jest piątek. Żeby też przynajmniej nie wydarzyło się co w drodze dobremu panisku albo Tadeuszkowi jakie nieszczęście.

Roztropna Halinka, która już wcześniej wolną była od wszelkich przesądów i zabobonów, rozśmiała się tylko z tej obawy, ja zaś nie rozumiałem jeszcze, o co chodziło, oboje więc, pożegnawszy grzecznie dobrą kobietę, wesoło powracaliśmy do domu. Tam oczekiwaliśmy na nas właśnie ważna czynność mierzenia nowo uszytych sukien, w których mieliśmy wystąpić nazajutrz na powitanie chrzestnego ojca. A były to prawdziwie prześliczne ubrania. Moja siostrzyczka w swojej błękitnej sukience przy jasnych włosach wyglądała jak istny cherubinek z obrazka, a i ja także czułem się dumnym z mego garnituru, przybranego szamerowaniem, i sutej białej kryzy. Najgorsza jednakże sprawa była z głębokimi węgierskimi bucikami z długimi, jedwabnymi sznurowadłami. Biedę miałem z nimi, bo zaledwie zawiązano mi je jak najstaranniej, przy żywszem nieco postąpieniu kilku kroków wysuwały się jakby na komendę, wymagając nowego wiązania. Aż rad byłem kiedy mi je w końcu z nóg zdjęto. Usnąwszy nawet widziałem je przez sen. Słowem prześladowały mnie przez noc całą. Niemile wrażenie, jakiego stał doznałem, byłoby zapewne nie tak prędko zatarło się w mojej myśli, gdyby nie przecudna pogoda jesienego poranka, podczas której mnie nazajutrz zbudzono. Słońce świeciło tak jasno, a z klombów pod oknami zalatywał tak silnie zapach rezedy i lewkonii, że pomimo widniejących już tu i owdzie fantastycznych barw jesieni można było uwierzyć w powrót lata, ludzko przypominanego przez kilka pełnych róż, świeżo rozwiniętych na krzakach. Drzwi otworzyły się i wbiegła strojna Helenka, wołając już od progu:

— Ubieraj się prędko, Tadeuszu! bo Tomasz już pojechał na stację po pana Zaniewskiego, a my najdalej za godzinę musimy się wybierać, żebyśmy go mogli powitać w Wilczej Górze pod lasem.

Nie trzeba było i tego, żeby mnie nakłonić do pospieszku. Wyskoczyłem z łóżka i zacząłem się ubierać tak spiesznie, ale zarazem tak niezręcznie, że biedna Luiza nie wiedziała, co począć.

— Chłopcze! co ty dziś wyrabiasz? Stójże spokojnie. Boże! co on dokazuje! chce wdziać kurtkę na lewą stronę. Cóż ty tam znowu pchasz za powrozy do kieszeni?

— To nie są żadne powrozy, tylko cugle, które dziś założę Michasiowi, jak przyjedzie na obiad z rodzicami. Mój chrzestny ojciec ma mi przywieźć jakiś śliczny biczyk. Hej! hej! będzie to dopiero uciecha.

— A będzie, będzie — potakiwała bona, usiłując przyprowadzić do porządku kryzę, przodem do pleców obróconą. —

No! a teraz niby już jesteś porządnie ubrany, pozwól tylko jeszcze lepiej zasznurować buciki!

— Później, później panno Luizo! wprzód muszę zmówić pacierz! — przerwałem niecierpliwie, nie pozwalając jej wypełnić zamierzonej czynności. Za chwilę byłem już w pokoju matki, gdzieśmy codziennie rano i wieczór odmawiali z siostrzyczką modlitwy pod jej przewodnictwem przed obrazem Panny Częstochowskiej.

Jak tam owego poranku modliliśmy się oboje, tego już dobrze nie pamiętam, przypominam sobie tylko, że kiedyśmy kończyli śniadanie, ukazał się na werendzie nasz ogrodnik z przeslicznym bukietem, który ojciec dał Helenie, mówiąc: żeby go oddała panu Zaniewskiemu przy powitaniu. — Ty zaś, mój drogi Tadzio! dodał, zdejmując ze stołu jakąś niewielką paczkę, starannie w papier obwinętą, wręczył mi, jako syn chrzestny, nierównie miłszy podarunek, pamiętaj tylko obchodzić się z nim ostrożnie, bo to rzecz kosztowna a delikatna.

Ciekawość ogarnęła mnie na chwilę, miałem już zapytać ojca, co by to było, ale wolano, żeby iść prędzej, bo ojciec z Helenką już byli gotowi, więc poszedłem za nimi z boną, nie chcąc się jej dać wyręczyć w niesieniu nieznanego niespodzianki, której kruchość niestety! już tak niedługo miałem poznać własnym kosztem.

Pogoda trwała ciągle, a nasz uroczysty pochód byłby się odbył bez najmniejszego wypadku, kiedy wtem, kiedyśmy się właśnie zbliżali do Wilczej Górki, znacznej wyniosłości leśnej, górującej wysoko po nad całą okolicą, spostrzegłem zdaleka nasz powóz wraz z rączką parą siwków, któremi Tomasz pojechał na stację. Zławie koniki zbliżały się ku nam z każdą chwilą, tak, że, pomimo obłoków kurzu, wzbijającego się na drodze, mogliśmy już rozróżnić twarz woźnicy. To już wystarczyło dla mnie, ażeby, nie czekając nawet skinienia ojca, wyrwać się prowadzącej bonie i w pełnym biegu ruszyć na dół ku gościńcowi. Reszta towarzystwa pozostała na szczycie Wilczej Górki, powiewając zdaleka chustkami, co widać dostrzegłszy, nasz gość upragniony zaczął wstrzymywać konie i wysiadł z powozu. Ja też dążyłem wciąż naprzód, trzymając ów nieznaną przedmiot, który miał mu sprawić taką uciechę. I byłbym mu go oddał zapewne, gdyby nie wniósł się do tego najwidoczniej owa fatalność piątkowa, przepowiedziana przez moją mamkę. Już, już miałem stanąć u zamierzonej mety, już zdjąwszy kapelusz byłem tylko o parę kroków od wyciągającego ku mnie rękę pana Zaniewskiego, kiedy jedno z owych szkaradnych sznurowadeł u bućka rozwiązało się najniezpodzianie i jak prawdziwy wąż zdradziecki, zaplątało mi się pod nogi, a ja runąłem jak długi. Zerwałem się natychmiast zawstydzony tak niemiłą przygodą, która zresztą oprócz niewielkiego guza nie pociągnęłaby była tak dalece złych następstw, gdyby nie ów pakieci, co, wymknąwszy się z rąk moich podczas upadku, leżał teraz na ziemi... Była to, jak się o tem wkrótce z wielkim żalem dowiedziałem, filiżanka ze starej porcelany, jakiej pan Zaniewski bardzo długo poszukiwał do swoich zbiorów, przypadkiem nabyta przez mego ojca za dość wysoką cenę, która się stłukła na drobne kawałki. Jakkolwiek nierozwaga i nieposłuszeństwo starszym było przyczyną tego wypadku, powiedziałem sobie, że to piątkowa przygoda ściągnęła na mnie gniew rodziców i przedstawiła mi tak niekorzystnie chrzestnemu ojcu,

że ten pomimo całej dobroci przez cały ciąg swego pobytu w Radełkach nie mógł się zdobyć względem mnie na taką serdeczność, jaką okazywał mojej roztropnej siostrzyczce.

Ale i ten przykry przypadek, jak i wiele innych pomniejszych, jakie mi się później zdarzały, musiał się zatrzeć z biegiem czasu w pamięci wszystkich, przyćmiony tem ważnem przejściem w życiu od płochego, bezczynnego dzieciństwa do rozpoczęcia poważnej nauki. Co do tego, to mogę się pochwalić, że, jak to powiadają, w piątek czy świątek szło mi wszystko jak z płatka i gdybym był mniej kochał Helenkę, mógłbym śmiało tryumfować, pozostawiając ją zawsze daleko poza sobą.

Byłem też wielkim ulubieńcem wszystkich nauczycielek i nauczycieli, i chociaż bardzo często zdarzało mi się uchybić w niejednym przyjętemu porządkowi, przebaczano mi wszystko przez wzgląd na wrodzoną żywość, nie starając się w niczem o jej powściągnięcie.

Tak więc mijały dla mnie szczęśliwe lata dzieciństwa, dopóki nareszcie nie zbliżył się ów rok tak ważny dla mnie, w którym zacząłem się przygotowywać do egzaminu, aby następnie zostać przyjętym do gimnazjum. Już od Nowego Roku, pan Twardzicki, wyborny ale zarazem surowy i zwinny pedagog, objął kierunek nad mojami naukami. Nie miał on wprawdzie nigdy powodu uskarżać się na brak zdolności, lub chęci do nauk z mojej strony, ale ów zbytek żywości, przepuszczany płazem przez jego poprzedników, raził go i zniechęcał nieraz do tego stopnia, że, naganiając mnie za każdy wybryk nieuwagi, kazał mi się zawczasu mieć na baczności, wróżąc, że przy podobnem usposobieniu, mogę się kiedyś narazić na wydalenie ze szkół publicznych, gdzie uwaga i roztropność bywają wysoko cenione. Podobne uwagi niebardzo mi przypadły do smaku, ale przez miłość dla rodziców i obawę złego humoru mego przyjaciela powstrzymywałem się, jak mogłem, od wszelkich figlów, jakie mogły popsuć mi opinię w jego oczach.

Wiosna już była w najpiękniejszym rozwoju, bo maj, ów najprzyjemniejszy ze wszystkich miesięcy, już się przechylił na drugą połowę, a w domu moich rodziców gotowano się do obchodu jednej z największych uroczystości. Przypadający pod datą dwudziestego drugiego tego miesiąca, dzień św. Heleny i Julii miał być u nas tego roku nadzwyczaj świetnie obchodzonym, gdyż były to nietylko imieniny mojej matki i siostry, ale również i ciotki Julii, która już od kilku dni przybyła do nas z odległych stron Galicji. Dobra to była ukochana cioteczka, niepospolitych zalet serca i umysłu, a tak weselutka i uprzejma, że od czasu jej przybycia cały nasz dwór ze służbą i domownikami rozjaśnił się i rozpromienił się pod wpływem jej wybornego humoru.

Nie było też nikogo, co by się nie starał jej wzajemnie przypodobać, dogadzając każdemu jej życzeniu. Będąc znacznie młodszą od mojej matki, była dopiero od lat kilku zaślubioną jednemu z najbogatszych obywateli Lwowa, który też na dzień jej imienin miał do Radełek przyjechać.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Pamiętajcie o ptaszkach (z ryc.) — Dług ojcowski, powieść przez E. Jerlicza. — Żółwie olbrzymie (z ryc.) — Pompeja (z ryc.) — Piątaszek (opowiadanie młodego chłopca). — Dodatek: Rozmówka z ojcem (z ryc.) — Kwiatek, wiersz przez K. Kosielską. — Z dziejniczka Marylei przez Maryę Weryho. — Królestwo złocienców. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 26 Октября 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

ROZMÓWKA Z OJCEM.

Wisząca lampa u sufitu rzucała jasne światło na stół, przy którym siedzieli rodzice i czterech ich synków. Gdy matka zajęta była szyciem, ojciec czytał gazety, świeżo z poczty odebrane, a dzieci zabawiały się cicho układaniem lamigłówek z papieru, szepcząc między sobą, aby tatusiowi nie przeszkadzać. Najstarszy z nich Władzio, już od dłuższej jednak chwili spoglądał ciekawie na ilustrowane pismo leżące na stole, na którego pierwszej stronie widniała jakaś rycina.

— Tatusiu — odważył się wreszcie zapytać, podchodząc do ojca — czy to powóz jaki dla zabawy dzieci jest tam wyrysowany?

— Nie moje dziecko, rycina ta przedstawia welocyped dwukołowy czyli bocykl.

— Welocyped tatuniu, a tyle osób na nim siedzi — u nas podobnych wcale nie widać...

— Jest to rzecz całkiem nowa, dotąd w Ameryce tylko znana, a zbudowana przez pewnego ojca, który pragnął razem ze swymi dziećmi na spacer wyjeżdżać, i przyrząd ten „familijskim bocyklem” nazwał.

— Czy ja też mogę się przyjrzeć temu obrazkowi — zapytał Józio, stając obok brata.

— I mnie tatuś też go pokaże! — zawołał z kolei Adamek.

— Tatuś mi da welocyped! — zawtórował pięcioletni Staś, najmłodszy z braci. — Tatuś dobry, da dzieciom welocyped! — przymilił się malec, sadowiac się ojcu na kolana.

— Dobrze, dobrze, przyglądajcie się rycinie jak długo tylko zechcecie — odpowiedział ojciec, uśmiechając się z dobrocią — nie zaplamcie tylko rączkami i nie pogniećcie papieru, bo wiecie, że tego nie lubię.

Chłopcy spuścili ręce i stali chwilę patrząc z uwagą.

— Ach, jak to zabawnie wygląda — odezwał się wreszcie Władzio. — Co to za przyjemność być musi, posiadać taki bocykl, bo samemu jeździć to pewnie znudzi się w końcu, ale tak ze wszystkimi razem...

— Ja bo wcale nie rozumiem, kto tutaj powozi — zauważył Józio.

— Widzisz, tu w środku siedzi ojciec tych dzieci i on nadeptuje pedały, które obracają koła — tłumaczył myślący Władzio.

— Ale to musi być ciężko temu ojcu, tyle osób wozić, pewnie też niedaleko tylko ujechać tak może, prawda tatusiu?

— Przeciwnie, zapewniają, że cała ta maszyna tak jest lekką i tak doskonale zbudowaną i wcale zbytecznie jadącego nie trudzi — objaśnił ojciec.

— Kiedy tak, to niech nam tatuś sprowadzi taki welocyped, będziemy sobie zawsze razem na spacer wyjeżdżać — prosił Adamek.

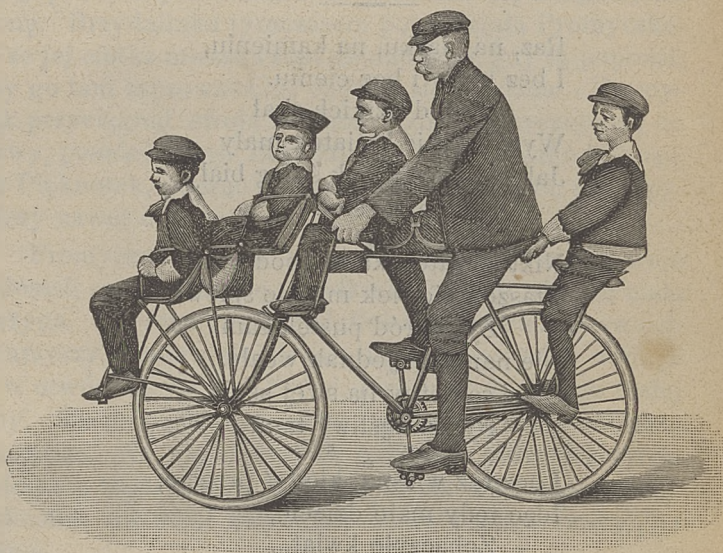
— Oj, jakby to ślicznie było — zapewniał Józio — bo właśnie ten ojciec z Ameryki miał też czterech synów, tak zupełnie jak u nas, więc tu, gdzie najstarszy chłopiec siedzi, byłoby miejsce dla Władzia, ja zaś siedziałbym na przodzie...

— A ja? — pytał Adamek.

— Twoje miejsce byłoby za mną, a Stasia tuż przed tatusiem, tak właśnie jak tu najmniejszego z chłopców.

— Tatuś kupi dzieciom zabawkę! — odezwał się malec, usłyszawszy swe imię.

— Staś myśli, że taki bocykl to podobnie tania i mała zabawka, jak jego wózek którym woził sobie piasek



w ogrodzie, a to zapewne drogo kosztować musi — odezwał się Władzio, podczas gdy w ożywionem jego spojrzeniu widać było, jak wielką radość sprawiłoby mu zapewnienie ojca, że bocykl familijski nie jest zbyt drogi, i że może kiedyś stać się ich własnością.

— Dotychczas nie wiem, jaka jest jego cena — odpowiedział ojciec — sądzę jednak, że będzie zawsze zbyt wysoką, abyśmy sobie mogli na taki zbytek pozwolić.

— Jaka szkoda! — zawołali równocześnie Józio i Adamek — jaka szkoda — dodali — że tatuś nie ma dużo pieniędzy!

— Ale myślę — mówił dalej ojciec z miłym uśmiechem na twarzy, i spojrzał w oczy starszemu synkowi — że gdy, ty Władziu, skończysz szkoły i zostaniesz inżynierem, jak mi to zawsze przyrzekasz, wtenczas sam zbudujesz sobie podobny bocykl familijski. A pomyśl tylko o ile to będzie przyjemniejszym, o ile więcej da ci zadowolenia, gdy własnym rozumem i pracą dojdiesz do posiadania tego, co cię dzisiaj tak nęci.

— I wtenczas tatusiu — odpowiedział chłopiec z promieniącą twarzą — wtenczas ja już będę dużym

i silnym, i tatuś nie będzie dla nas się trudił, ja sam już będę woził tatusia i braci; to jeszcze ładniej, jeszcze weselej będzie!

— Zgadzam się na to chętnie i trzymam cię za słowo, lecz pamiętaj, że tylko pilna nauka w szkole, da ci możliwość spełnienia tych zamiarów — odpowiedział ojciec całując dobrego synka w głowę.

— Tatuś Stasia też pocałuje, Staś mały, Staś będzie zawsze grzeczny! — przymilał się najmłodszy z chłopców. — Staś też jak będzie duży, nie da tatusiowi się męczyć i codzień chodzić będzie za niego do biura...

— Powiedzcie dzieci ojcu dobranoc — odezwała się mama, składając swą robótkę — już dziewiąta bije, a jutro trzeba wstać rano do nauki i pracy!

K W I A T E K.

Raz, na piasku, na kamieniu,
I bez wody i bez cienia.

Pośród dzikich skał
Wyrósł sobie kwiatek mały
Jak łąza czysty, jak śnieg biały,
I samotny stał.

Nikt kwiateczka nie podlewał,
Ptaszek piosnek mu nie śpiewał,
Żył wśród pustek sam:
Nie narzekał jednak wcale,
Choć samotny na swej skale,
Był szczęśliwy tam!

Lecz raz wiosną, kiedyś przecie,
Idąc tędy małe dziecię,
Zobaczyło kwiat...

Wnet serduszko się ścisnęło,
Dziecię smutny kwiatek wzięło,
Wzięło w obcy świat.

I w ogródku posadziło
Nad strumieniem gdzie tak miło
Kwitły róże, bzy —
Chciało, by roślinka mała,
Miała wodę, słonko miała,
Nie znała co łązy.

Lecz choć pięknie tak w około
I zielono i wesoło,

Pełno kwiecica, mchu —
Choć mu dumki słowik nucił,
Czemuż kwiatek tu się smucił?
Czegoż pragnął tu?

Czemuż tutaj się, o dziwy,
Czuł kwiateczek nieszczęśliwy,
Tu, wśród róż i bzów?

O! bo kraj swój opuszczony
Swe dalekie, smutne strony,
Kochał kwiatek ów!

Tu wśród wygod, kwiatek biały
Wciąż wspominał swoje skały,
I tak tęsknił stąd,
Ach, tak tęsknił po swym kraju,
Że w cudownym wiosny maju
On z tęsknoty zwiądnął!

M. Kosielska.

Z dzienniczka Marylci.

Dzień czwarty.

Miałam tyle zajęć, że nie mogłam przepisać na czysto mego dzienniczka i dla tego jest on spóźniony.

Dziś mogłabym w nim dać tytuł: historia kózki. Tak, bo to było najstosowniejsze, kiedy Wacio opowiadać zaczął o swojej wychowance.

Zapiszę wszystko po porządku.

Zaraz po śniadaniu Wacio zaproponował spacer na łąkę. Prawie jednogłośnie zawołaliśmy... dobrze!... dobrze! włożywszy kapelusze na głowę, idziemy.

Nie wiem, czy szliśmy z dziesięć minut, gdy oczom naszym przedstawił się prześliczny widok, duża, piękna łąka, oblana cała promieniami słońca. Jedwabista trawa i zioła, jakby w tej chwili wyszły z kąpeli, a niektóre kwiatki miały jeszcze kropelki na listkach.

W pośrodku stał pastuch z dużym biczem na ramieniu i przygrywał na fujarce.

Zdawało się, że krowy, owce, cielęta bardzo były zajęte jedzeniem, bo nie zważały ani na pastucha, ani na słońce, ani na nas.

Wtem Wacek głośno zawołał: Zuzula! Zuzula! W tej chwili od stada odłączyła się biała kózka, podniosła głowę i zaczęła rozglądać się na wszystkie strony.

Spostrzegłszy Wacia zawołała na cały głos: bee-e! kopnęła nóżkami raz i drugi, co bardzo śmiesznie wyglądało i przybiegła do niego.

Wacio prędko wy dostał z kieszeni kawałek chleba z solą i dał kózce.

Tymczasem i ja podeszłam do niej, głaskałam, a nawet pocałowałam ją w pyszczek, bo taka miluchna i czyściuchna.

Potem zaczęła nam kózka rozmaite sztuki pokazywać. Ach! jak to było zabawne! To nastawi łebek i niby bodzie, to wspina się na tylne nogi, to niby goni nas wszystkich. A przytem ciągle dzwoni, bo na różowej wstążeczce wisi jej na szyi dzwoneczek; to Wacio nauczył ją tego wszystkiego, jego też tylko słuchała.

Później usiedliśmy wszyscy w cieniu pod drzewem, a kózka położyła się obok nas.

Przyglądałam jej się, a ona wciąż pyszczkiem rusza. Co to znaczy, myślę sobie, czyżby i kozy przeżuwały tak samo, jak owca? Wacio wytłómaczył mi, że owce najpierw łykają pokarm, który później wraca im się do pyszczka i wtedy na dobre przeżuwają. Opowiadał nam także, jaki z niej łakomczuch, jak sobie na polu wybiera najsmaczniejsze zioła, jak się wdrapuje czasem na skały i ruiny, żeby wynaleźć przysmak dla siebie. A raz, to aż na dach piwnicy weszła, pewno myślała, że to góra. Opowiadał także, że z rana i wieczorem Barbara doi kózkę, a jej

ciepłe mleko dzieci wypijają. W końcu Wacek dodał: wiem dobrze, że koza i po śmierci jest bardzo pożyteczną, bo i mięso jej jest jadalne, z łoju wyrabia się mydło i świece, i skóra dobra na wyroby skórzanе, a jednak za żadne skarby świata nie oddałbym mojej małej. Prawda Zuzulo?

A koza niby zrozumiała i zawołała głośno: bee-e-e!

Wacek ma słuszność. Jabym też nigdy w życiu takiego ślicznego stworzenia nie oddał.

Marya Weryho.

KRÓLESTWO ZŁOCIEŃCÓW.

(Dalszy ciąg).

Promyczek uśmiechnął się, bo jego ród żabi nie zachwycał, ale, porównyując brzydkich wioślarzy z ładnie umundurowanym i wyświeżonym pankiem, odpowiedział:

— Rzeczywiście, nie wszystkie są jednakowe.

Wioślarze wstrzymali się na chwilę, i Promyczek usłyszał smętne i śpiewne rechotanie, zdające się wychodzić z żółdziowej budki, a które dotychczas głużył plusk wiosła.

— Kto to śpiewa? — zapytał zdziwiony, bo przecie zielony panek żalił się na samotność.

— To moja siostra Brzydalinka, at, skrzeczy, jak umie, chcesz ją zobaczyć? Nic ciekawego, dziwnie brzydka.

Wtem z cichym szelestem uchyliły się drzwi budki i ukazała się niewielka żabka w zielonej, centkowanej, skromnej sukience.

— Chodź tu, Brzydalinko! — zawołał Pięknótek — nie wpatruj się w księżyc, spojrz raczej na tego pięknego młodzieńca, co pragnie cię poznać. Zachwyciłaś go swym śpiewem, a teraz olśniesz do reszty zapewne swoją urodą.

Brzydalince te słowa zrobiły widoczną przykrość: cofnęła się zmięszana. Ale Promyczek powitał ją grzecznie i rzekł:

— Nie wiedziałem, Pięknótku, że podróżujesz z siostrą, masz już więc towarzystwo.

— Co tam z niej za towarzystwo — odburknął Pięknótek — z takiej tam żaby!

— Dobrze więc, że mamy gościa — rzekła łagodnie Brzydalinka — to cię trochę rozerwie.

— No tak, z chłopca zawsze większy pożytek, z siostry to tylko niepotrzebny kłopot.

— O, jak możesz tak mówić — zawołał Promyczek — jabym swojej siostrzyczki za cały świat nie oddał.

— Twojej! Jeśli taka ładna, jak mówisz, to pewnie, żeby jej było szkoda. Może-byś mnie z nią zapoznał?

— Nie czas po temu — odpowiedział sucho Promyczek, myśląc w duszy, że nie życzyłby Śniegulince znajomości z Pięknótkiem, który się wydawał tak złym bratem.

— Ach prawda, zupełnie zapomniałem — zawołał Pięknótek — no, jakże się myślisz dobrać do tego grzebienia?

— Jakiego? — zapytała Brzydalinka.

— Cicho ty bądź i nie wtrącaj się, to nie twoja rzecz. Także, masz jej co opowiadać, pewnie ci co mądrego wymyśli — dodał, chcąc przerwać objaśnienia, jakie dawał Promyczek.

Brzydalinka wysłuchiwała jednak uważnie i rzekła:

— My sami nic nie poradzimy, ale ja mam starą i bardzo rozsądną ciotkę, do niej się udajmy.

— To dopiero — wykrzyknął Pięknótek — ja prezydentowicz żabi, i, nie chwając się, dosyć rozumny, mam jeździć po radę do starej nudziarki, brzydkiej, że aż fe!

— Pięknótku — przerwała Brzydalinka — starszym należy się uszanowanie.

— Szanuj ją więc, wiele chcesz; nim dojdiesz do jej lat, będziesz tak nudną, jak i ona, a o palmę piękności i dziś się z nią możesz współubiegać.

— Pięknótku — przerwał Promyczek — bardzo jesteś niedobrym, przymawiasz ciągle Brzydalince, której dobroć i cierpliwość więcej są warte, niż twoja uroda.

Zielony panek wydał pogardliwie usta, przesunął łapką po zielonym mundurku i oddalił się zadąsany na stronę. Brzydalinka tymczasem powiedziała Promyczkowi, że jej ciotka mieszka stąd niedaleko, i, gdy ją poprosił, żeby go tam zaprowadziła, chętnie się zgodziła. Promyczek przyciągnął swoją zieloną łódkę, przyczepioną do tratwy, pomógł wsiąść Brzydalince i już chciał odpłynąć, gdy Pięknótek, nudząc się sam, wskoczył także, nie zapytawszy nawet o pozwolenie.

Promyczek dobił wkrótce do brzegu, i wszyscy troje wydostali się na polankę, środkiem której wila się mała ścieżyna. Tą ścieżyną Brzydalinka zaprowadziła swoich towarzyszy do niewielkich zarośli, wszyscy troje wsunęli się w otwór, ukryty pod liśćmi, i spuścili się w głąb małej jamy. Tu na posłaniu z mchu i gałęzi, spoczywała duża jaszczurka. Na odgłos kroków podniosła głowę i przyjęła serdecznie siostrzenicę, która ją witała z uszanowaniem. Pięknótek nie zdjął nawet kapelusza i stał, ziewając, na stronie.

Brzydalinka przedstawiła Promyczka, pani Jaszczurka pozdrowiła go bardzo łaskawie.

— Miło mi zawrzeć z tobą znajomość — rzekła z godością — jestem przychylnie usposobioną dla ludzi i pożytek im przynoszę, tępiąc szkodliwe owady. Mimo to jest wielu złośliwych chłopców, którzy sobie robią igraszkę z dręczenia nas i naszych krewnych żabek.

— O pani — odpowiedział Promyczek — upewniam cię, że nigdy do ich liczby nie należałem.

Pani Jaszczurka skinęła łaskawie głową, a Brzydalinka przystąpiła zaraz do rzeczy i opowiedziała cel swego przybycia.

— A teraz — rzekła — przyszliśmy zasięgnąć rady cioci dobrodziejki, pewnie zechcesz nam dopomódz swoim doświadczeniem.

Pięknótek, siedzący w kącie, zarechotał:

— Oto jej kadzi, a pani Jaszczurka, pomyślawszy, odpowiedziała:

— Zawsze dobrze jest, kiedy się młodzi radzą starszych. Wiedźma spaliła swoją chatkę, grzebień schowała w szczycie niebotycznego dębu, a was szuka po lesie pod postacią wrony.

Pięknótek mruknął pod nosem:

— Otom się w ładne towarzystwo wdał, a ciotka mówiła dalej:

— Drzewo znaleźć nie trudno, ale pień jego opasuje dziki bluszcz, który oplątuje i dławi każdego co się zbliży, gałęzi pilnuje wiewiórka złotolistka, a szczytu strzeże brylanto-dzioby dzięcioł. Bluszcz trzeba podlać wodą z najczystszego źródła żeby usechł; wiewiórkę można przekupić cukrowym orzechem ze szmaragdowej leszczyny, rośnie ona tu w lesie; a dzięcioła pozyskać ofiarowaniem największej muchy, jaka się znajduje w borze. Jak tego dostać to już wasza głowa, bądźcie roztropni i wytrwali i idźcie sobie, bo mam pilne zajęcie.

Brzydalinka i Promyczek skłonili się pięknie i wyszli, za nimi wyskoczył Pięknótek.

— Gdzieby tu znaleźć ten cukrowy orzech i tę muchę? — rzekła zafrasowana Brzydalinka.

— Jakto, jeszcze tego nie wiesz? — rzekł pogardliwie Pięknótek. — No, widzę, że muszę wam pomódz, bo sobie bezemnie nie dacie rady. Znam wszystkie źródła w lesie i mogę wybrać z nich najczystsze, po leszczynach także nieraz chodziłem i nie łatwiejszego jak znaleźć cukrowy orzech. Co zaś do muchy, to dla mnie zabawka, nieraz na nie polowałem.

— Ej Pięknótku — wtrąciła Brzydalinka — czy pewny jesteś...

— Jakto, pewny! — krzyknął pyszałek — ty nie dawno przestałaś być kijanką i tylko po ziemi skaczesz, to nie wiesz co się dzieje pół łokcia nad tobą. Ale ja chodzę po krzewach, co, może nie chodzę?

— Ależ chodzisz, chodzisz, tylko w lesie tyle leszczyny...

— To i co, znam cały las jak własną kieszeń. Teraz się położę w cieniu tej poziomy i prześpię trochę, a wy, róbcie co wam się podoba.

— Czy nie mógłbyś się przespać później? — spytała Brzydalinka — kiedyż ty zrobisz to wszystko co masz do zrobienia?

— No, no, to już moja rzecz, jak wypocznę to więcej zrobię przez pół godziny, niż ty przez dzień cały.

Mówiąc to, Pięknótek rozciągnął się w cieniu poziomych gałęzi i zachrapał.

— Cóż będziemy robić Promyczku? — rzekła żabka.

— Ja będę czekał aż się Pięknótek obudzi i razem z nim udam się na poszukiwania, a ty Brzydalinko może wrócisz do domu. Dziękuję ci bardzo za twoją uprzejmość i dobroć, ale zdaje mi się, że teraz nie będę już potrzebował cię trudzić.

Brzydalinka, która sama myślała, że nie na wiele może się tu przydać, pożegnała go serdecznie i puściła się w drogę do swego ziemnowodnego schronienia.

V.

Zielony bohater.

Kiedy Pięknótek obudził się nareszcie, słońce było już wysoko, Promyczek zaspakajając głód orzechami i poziomkami, oczekiwał niecierpliwie aż się jego towarzysz wyśpi.

— Ach przecież! — zawołał przybiegając — myślałem, że będziesz spał do jutra.

— Ach nie — odpowiedział, przeciągając się zielony panek — przecież ja tylko na chwilę się zdrzemnąłem. Wyobraź sobie, jaki zabawny sen miałem. Śniło mi się...

— Mój kochany — przerwał Promyczek — czy nie mógłbyś mi tego opowiedzieć w drodze?

— Och, mogę nawet wcale nie mówić, jeśli cię to nudzi, uważam, że w ogóle nie jesteś rozmowny.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

Pierwsze z trzecim najmilej brzmi w ustach dzieciny

Czwarte z piątym, podpira zbyt wątłe rośliny.

Drugie z piątym, zarówno w domu, jak w podróży, Do chowania papierów najwygodniej służy.

Wszystko wraz to nauka, wielce pożyteczna,

Tak możnym, jak ubogim, zarówno konieczna.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożyła Marylka dla Redakcyi.

1
2
3
4
5
6
7
8

W kwadracie o 8-miu przedziałkach zastąpić kropki literami, aby litery oznaczone liczbami złożyły imię bohatera spartańskiego. Znaczenie wyrazów: 1) Imię znakomitego rzeźbiarza i malarza włoskiego. 2) Starożytna kraina w północnej

Grecyi. 3) Gad pokryty kościstymi łuskami. 4) Miasto nad rz. Uralem. 5) Stan Ameryki połud. 6) Jedna z wysp Indyi Zachodnich. 7) Stan Ameryki północ. 8) Król Perski.

REBUSIKI.

ułożył Józio B. dla Wacia H.

k - o	pa - s	ja
		dzie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Szarady: Ko — ła — cze.

Łamigłówki sylabowej:

1) Węgier. 2) Isonzo. 3) Edward. 4) Chrabąszcz. 5) Zaleski. 6) Ocean. 7) Rodan. 8) Yonne.

Wieczory rodzinne.